

Ludmiła Tokarska

Refleksje na temat spotkań autorskich

Spotkania pisarzy z czytelnikami są piękną formą upowszechniania literatury. Formę tę rozwinęły biblioteki publiczne z dużym pożytkiem dla społeczeństwa. Walnie przyczyniła się ona do olbrzymiego wzrostu liczby czytelników w naszym województwie, który nastąpił w roku 1960. Współczesne biblioteki, to nie tylko placówki, w których można wypożyczyć książkę, ale również miejsce bezpośrednich kontaktów z twórcą książki, z pisarzem. Liczba około 300 spotkań autorskich w ostatnim roku (w tym ponad 180 na wsi i w małych miasteczkach) stawia nas na pierwszym miejscu w kraju pod względem organizacji tych imprez. A przecież obok Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie wiele innych placówek i organizacji upowszechnia tę formę pracy z czytelnikiem.

Jesteśmy być może jedynym województwem w kraju, które tak masowo organizuje spotkania w środowiskach wiejskich i małomiasteczkowych. Niemal każdy pisarz przyjeżdżający na wieś jest poniekąd pionierem, ale nie przeszkadza to zebranym w natychmiastowym nawiązaniu serdecznego kontaktu. Spotkania autorskie w środowiskach wiejskich są wzruszające. Nie szkodzi, że nikt zwykle nie czytał książek przyjeżdżającego na spotkanie pisarza. Ciekawość rodzi się dopiero w czasie spotkania, rozwija się później i trwa tak długo, dopuki nie przeczyta się wszystkiego. Bo to jest już „swoją” pisarz, dobry znajomy, z którym do późnej nocy rozmawiało się. I nagle tam, gdzie nie wychylano się dotąd poza Kraszewskiego, najpoczytniejszymi książkami stają się „Zielone skrzypce” J. Zycha, lub „Polska Piastów” P. Jasienicy.

Spotkania wiejskie są doskonałym studium psychologicznym. To co się dzieje w sercach słuchaczy natychmiast uwidacznia się na ich twarzach: ciekawość nowych spraw i wrażeń, których nie zaspokaja ani radio ani nawet telewizja. Pisarze nie bronią się przed spotkaniami z wiejskimi słuchaczami. Przeciwnie, bardzo cenią je (może nawet więcej od spotkań w mieście), właśnie za bezpośredniość, wrażliwość i serdeczność słuchaczy. Pisarz zresztą w takim środowisku nie ma łatwego zadania. Pytania są szczerze, konkretne i rzeczowe, nie ma w nich kurtuazyjnego zakłamania. Rzeszowska wieś coraz śmielej wypowiada swoje opinie, swoje życzenia, nawet podsuwa tematy, co niewątpliwie pomaga pisarzowi w pracy.

Spotkania wiejskie mają charakter żywiołowy. Zwykle na spotkanie idzie kto żywy, starzy i młodzi, gospodarze i gospodynie, nauczycielstwo, młodzież, czytelnicy i tacy, którzy stronią od książki — idą wszyscy: przez ciekawość, dobrą i pożyteczną ciekawość. I zawsze jakaś iskra zainteresowania książką rodzi się na takich spotkaniach.

Spotkania w miastach mają zupełnie inny charakter. Uczestnik spotkania w mieście na ogół zna twórczość danego pisarza, ma o niej swe własne zdanie, umie konkretyzować wymagania stawiane współczesnemu piśmarstwu. Nie zawsze jednak ci ludzie trafiają na spotkania, często też jeżeli są, giną w tłumie ludzi przypadkowych, przy prowadzonych na spotkanie dla zwiększenia frekwencji. Jest to niewątpliwie duży błąd. Udane bowiem spotkanie nie zależy od tłumy znudzonych i obojętnych uczestników — czekających z niecierpliwością na zakończenie. A przecież często na naszych miejskich spotkaniach tak bywa.

Najbardziej może reagował na to Jerzy Putrament, który w pewnym

mieście powiatowym w naszym województwie ujrzał parami podążającą młodzież na swe spotkanie. Jako człowiek o dużym temperamencie wzmieszał się natychmiast w szeregi uczniów i wypytywał gdzie idą. Nie poznany przez nikogo usłyszał odpowiedź: „na spotkanie z jakimś FUNDAMENTEM” — o czym z wielką uciechą opowiadał później. Nie wiem ile w tym prawdy, a ile fantazji mistrza pióra, ale ta prowadzona pod przymusem młodzież była zmorem spotkania. Czasem zdarza się też, że zmusza się młodzież do uczestnictwa w spotkaniu zapowiedzią klasówki. I znów tenże sam Jerzy Putrament (co za pech!) po jakimś innym spotkaniu mówi: „a wie pani dlaczego było tak dużo młodzieży? Będą ze mnie pisać jutro klasówkę. Powiedzieli mi, bię dacy!” — Putrament był niepokieszony w swoim zmartwieniu i na długi czas stracił humor.

Uczestnictwo w spotkaniach winno być bezwarunkowo aktem dobrej woli i rzeczywiście zainteresowania. Wtedy jest jakiś obustronny pożytek. Pamiętam, że w jednym mieście zorganizowano spotkanie autorskie (ze Stanisławem Strumph-Wojtkiewiczem) dla pracowników Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Rozpoczęło się o godz. 14-tej. Na początku spotkania było obecnych około 80 osób. W połowie spotkania, o godz. 15-tej, bezceremonialnie niemal wszyscy wyszli. Godziny urzędowania skończyły się. Została zaledwie garstka młodzieży.

Przytaczam te niemiłe wypadki, aby udowodnić do czego może doprowadzić beznamiętność przy organizowaniu spotkań. Są to zresztą wyjątki. Spotkania w naszym województwie na ogół cieszą się niezłą opinią w środowisku literackim Warszawy i Krakowa.

Jeszcze kilka słów na temat spotkań w samym Rzeszowie.

Najtragiczniejszą chyba rzeczą jest wygodnictwo myślowe i obojętność. Myślę, że te właśnie dwa czynniki nie są obce rzeszowskiej inteligencji humanistycznej. Do tych dwóch dochodzi jeszcze trzeci czynnik, a mianowicie najbardziej przykry przejaw snobizmu: zadufanie w sobie, na skutek absolutnego przekonania o wielkości własnego JA. Ponad to JA nie ma nikogo, nic nie jest ciekawe, nic nie jest godne zainteresowania.

W bardzo charakterystyczny sposób daje się to zauważyć na spotkaniach autorskich w Rzeszowie. Po prostu, z tej tzw. czołówki inteligencji, na spotkania nikt nie chodzi. Nikogo nie jest w stanie zainteresować Jerzy Andrzejewski, Julian Przyboś, Jerzy Lovell, Paweł Jasienica, Janina Broniewska, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Olgierd Terlecki, Jan Wiktor, Stanisław Pięta, Jan Bolesław Ożóg, nawet Jerzy Putrament. Można by wymieniać długo. Zawsze coś przeszkodzi: a to ładna pogoda, to znów deszcz i zimno, mecz piłki nożnej, występ Hanka Bielickiej itp. Mówią, że jak się chce psa uderzyć, to kij zawsze się znajdzie. A w Rzeszowie grupa ta jest przecież liczna: poloniści, historycy, dziennikarze, ludzie próbujący pisać, działacze kulturalno-oświatowi. Ale cóż, na żadnym spotkaniu tych ludzi na ogół nie widuje się.

Do doskonałym dowodem na tę obojętność było ostatnie spotkanie

z Jerzym Putramentem. Wiceprezes Zarządu Głównego ZLP, członek Komitetu Centralnego PZPR, I sekretarz POP przy ZLP, kościuszkowiec, współorganizator Związku Patriotów Polskich w Moskwie i I Armii WP, pisarz-komunista, wybitny działacz polityczny i kulturalny — on też nie wzbudził zainteresowania, albo nie wytrzymał konkurencji z Hanką Bielicką i panem Malinowskim.

Te smutne refleksje wcale nie znaczą, że to było nieudane spotkanie. Na szczęście Putrament wcale nie odczuł braku czołówki kulturalnej Rzeszowa, był nawet ze spotkania bardzo zadowolony.

To są tylko nasze wewnętrzne wnioski. W Rzeszowie można już środowisku stawiać poważne wymagania. Zwiastują, gdy to środowisko twierdzi, że ma ambicje, że pragnie rozwinąć się literacko, twórczo. Dlatego też dziwi mnie i smuci zjawisko obojętności, brak reakcji i niechęć do zetknięcia się z czołowymi przedstawicielami współczesnej literatury polskiej i publicystyki. Brak bowiem osobistego zaangażowania się, wewnętrzного przekonania do tych spraw, brak owej pasji poznawczej, chęci skonfrontowania własnych opinii i sądów może jeszcze długo podtrzymywać marazm, którego od lat nie można w Rzeszowie przełamać.

Myślę, że już najwyższy czas, aby postawić pytanie naszej inteligencji, czy ma na tyle siły i chęci aby rozpocząć konsekwentne realizowanie własnych planów i wniosków dyskusowanych w Roku Ziemi Rzeszowskiej. Jedno z tych pytań będzie dotyczyło sprawy założenia w Rzeszowie tzw. Klubu Literackiego, który w części zastąpi oddział ZLP. Organizacji tego Klubu podejmie się Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna; potrzebna jest tylko grupa ludzi, która zechce twórczo myśleć i pracować z korzyścią dla siebie i dla swojej ziemi.

Jerzy Walawski

Kot Dywaniec

Kot ostrzy swe pazury na dywanie.

Kot nazywa się Dywaniec Adyćpanie.

Takie żarty proszę na bok, proszę kota

Więc Dywaniec obrażony nocą miauczy przeraźliwie

Z Dywańcówą koci duet.

Blask księżycza im przyświeca w nocnych wyciach,

A sąsiedzi obudzeni mówią brzydtko.

Którejś nocy na podwórku trwa oblawa,

Czterech łowczych dzielnieowych na Dywańca,

Lecz Dywaniec gdy pazurki swe pochowa,

Nie zostawia żadnych śladów proszę państwa.

Czterech łowczych, cztery doby nieprzespane,

Kocur śmiechem parska w miękką swoją łapę,

Bo na strychu w czasie tego polowania,

Wypatroszył czterem łowczym ich kanapy.

Morską trawę wiatr wydmuchał na podwórko,

tak pościelił ją równiutko jak dywanik,

Czterej łowczy ze zmęczenia na nią padli

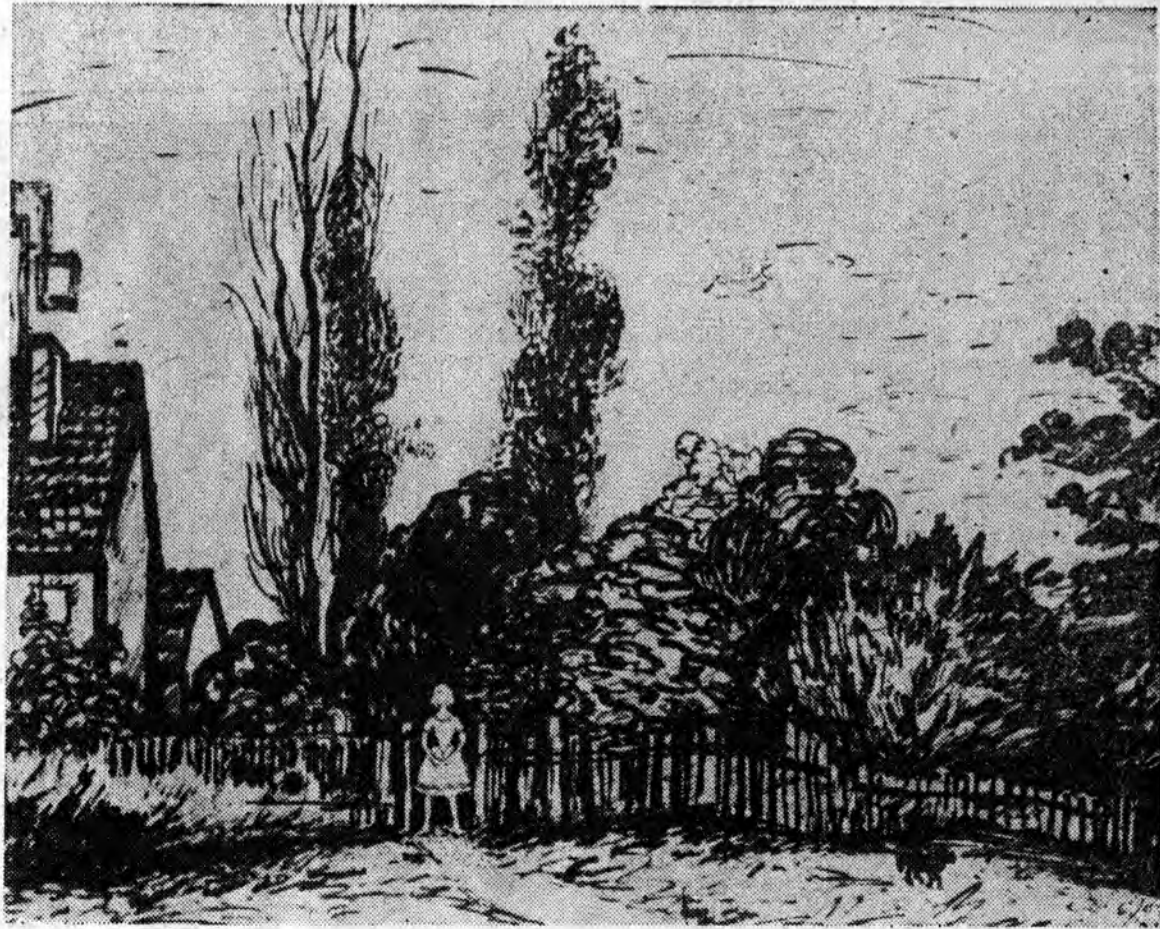
I donośnie, czterogłośnie zachrapali.

Spiących widząc zszedł Dywaniec z Dywańcówą.

Po kolei w nos każdego połaskotał

I zatańczył ze swą żoną triumfalny,

Dywańcowy Adyćpański taniec kota.



CEZARY KOTOWICZ — OGRÓD DZIEWCZYNI Z PIESKIEM



JACEK FISCHER — ŚWIATŁA NOCY

Struktura polskiej inteligencji

Inteligencja jest drugą po klasie robotniczej grupą społeczną, której struktura uległa w okresie Polski Ludowej gruntownym przeobrażeniu. Jest więc bardzo interesująca, jak się ta struktura, obecnie przedstawia. Podejmiemy to zagadnienie w oparciu o badania socjologiczne prowadzone pod kierunkiem prof. dr Jana Szczepańskiego, jak też o badania statystyczne, przeprowadzone w innych ośrodkach naukowych.

Traktując inteligencję jako zespół kategorii zawodowych, prof. Szczepański wyprowadza jej trzy główne kategorie socjologiczne:

1) Kategoria socjologiczna twórców w kulturze. Do kategorii tej zaliczeni zostali pracownicy nauki (około 25 tys. osób), literaci (około 800 osób), architekci (4500 osób), plastycy (ponad 6 tys. osób), publicyści i dziennikarze (w redakcjach pracuje około 10 tys. osób, z tego 3 tys. stanowią publicyści i dziennikarze we właściwym tego słowa znaczeniu), aktorzy, muzycy itp. — około 6 tys. osób. „Podsumowując te wszystkie kategorie zawodowe — stwierdza prof. Szczepański — zaliczone do socjologicznej kategorii twórców, otrzymujemy około 45.000 osób. Doliczając kategorie graniczne, jak pracowników naukowo-technicznych, pewne kategorie bibliotekarzy i innych, otrzymujemy od 55.000 do 60.000 osób”.

2) Kategoria socjologiczna organizatorów i kierowników pracy i życia zbiorowego. Prof. Szczepański zalicza do tej kategorii inżynierów i techników kierujących produkcją, pracowników wymiaru sprawiedliwości (sędziowie, prokuratorzy, adwokaci — około 9.000), dyrektorów przedsiębiorstw, kierowników administracji państwowej i instytucji społecznych, działaczy społeczno-politycznych, oficerów i pracowników planowania ekonomicznego, etatowych działaczy kulturalnych.

3) Kategoria socjologiczna specjalistów (ekspertów) i techników (w najszerszym znaczeniu tego słowa) wykonujących prace umysłowe, wymagające przygotowania teoretycznego. Zalicza się tu lekarzy medycyny, dentyistów, farmaceutów, felczerów, pielęgniarki o pełnych uprawnieniach (ponad

83.000 osób), nauczycieli różnych typów szkół (około 180 tys. osób), pracowników wydawnictw (przeszło 8 tys. osób, grupa zbliżona do pracowników nauki czy innych kategorii kulturalnych), pracowników rolnictwa, pracowników handlu, różne kategorie urzędników.

Prof. Jan Szczepański analizował strukturę inteligencji w oparciu o przyjęte przez niego, określone kryteria socjologiczne. Wobec braku odpowiednich danych statystycznych, klasyfikacja ta nie mogła być wyczerpująca pod względem ilościowym. Wyczerpującą ilościowo analizę struktury inteligencji w Polsce może dać przede wszystkim klasyfikacja statystyczna — podział na inteligencje grupy zawodowej i zawody. Niestety, i dla tego schematu nie posiadamy również odpowiednich danych. Być może, dostarczy ich przyszłe opracowanie spisu powszechnego z 1960 roku.

Zgodnie z klasyfikacją prof. Jana Szczepańskiego, kategoria socjologiczna twórców kultury. leży w Polsce około 60 tys. osób. Wydaje nam się, że cyfra ta jest raczej bardzo ostrożna. Nie jest to zresztą tu istotne. Armia 60 tys. twórców kultury w trzydziestomilionowym narodzie, jeszcze tak niedawno strukturalnie zacofanym, to fakt o wielkiej wymowie społecznej. Tworzy ona niewątpliwie dostateczną ilościowo bazę dla procesów tworzenia się różnorodnych form kultury w Polsce. Wyrazem dynamicznych przemian struktury ekonomicznej Polski jest potężna grupa zawodów technicznych i ekonomicznych. Grupa zawodów technicznych i ekonomiści stanowią blisko połowę pracowników z wyższym wykształceniem. Wśród pracowników ze średnim wykształceniem zawodowym te dwie kategorie zawodowe mają jeszcze większy udział, ponad 50 procent.

Tak więc dwie zasadnicze funkcje określające dynamikę każdego nowoczesnego społeczeństwa — produkcyjna i kulturotwórcza — mają swoje mocne poparcie w strukturze inteligencji.

JÓZEF KUROWSKI

CZY TARNOBRZEG POBIJE SĘDZISZOWSKI REKORD

SEANS, KTÓREGO NIE BYŁO

W poczekalni siedziało kilkanaście osób. Kilku robotników, żołnierzy, milicjant, trochę młodzieży. Przez otwarte drzwi wchodziłi nowi ludzie. Przez te drzwi dostawało się też na salę trochę światła, gdyż w poczekalni panowała ciemność.

— To co, wysiadka? — rzucił ktoś w półmrok.

— Ależ skąd! to tylko tutaj faza nawaliła. W kabinie światło jest. Wszystko będzie w porządku — replikował ktoś inny, zapewne kierownik kina.

— No to na co czekamy? Już czas!

— Operatora nie ma. Jeszcze nie przyjechał.

Zapadło milczenie, które po dziesięciu minutach przerwał głos kasjerki:

— Nic z tego. On już nie przyjedzie. Proszę, zwracamy pieniądze za bilety.

Tak to 12 bm, oglądałem w Tarnobrzegu węgierski film „Przeziwicy”. Z przeklinając i docinków opuszczających gmach zawiedzionych kinomanów dowiedziałem się, że podobne wypadki nie są sporadyczne, i że z pracy kina są absolutnie niezadowoleni. Ktoś proponował nawet, by Tarnobrzeg obsługiwało kino objazdowe, które nie robiłoby takich niespodzianek.

Kinowe kłopoty Tarnobrzega datują się od chwili rozpoczęcia remontu kina „Wisła”. Seanse przeniesiono do nieodpowiedniej, źle przystosowanej i małej (140 miejsc) sali Powiatowego Domu Kultury — stąd narzekania na różne niespodzianki i jakoś projekcji. Tymczasem remont „Wisły” karygodnie przeciąga się. Trudno to nawet nazwać remontem, gdyż mieleckie przedsiębiorstwo, które go przeprowadza pozoruje jedynie pracę. Po budynku, kręci się aż 3 ludzi i to wszystko. Z tych i innych znaków na niebie i ziemi wynika, że remont, który miano zakończyć w roku bieżącym, przeciągnie się do końca roku przyszłego, a może i dłużej.

Ponieważ kino mieści się w budynku domu kultury — idąc do kierownika dowiedzieć się o PDK-owskie sprawy. Kierownik, pan Kowalski, wychowanek zespołu „Mazowsze” (ale rzeszowski rodem) rozkłada ręce.

— Niech pan popatrzy, gdzie tutaj można coś zrobić. Jedna i druga sala zamienione na magazyn. W trzeciej poradnia, pokój biurowy i to wszystko. Niemal wszystkie zespoły muszą ćwiczyć poza PDK i to

w różnych częściach miasta, a niektóre (np. rytmike) musieliśmy przekazać do klubu „Tapima”, bo u nas nie ma miejsca. Obiecano nam przebudować i rozszerzyć gmach, ale jakoś opornie to idzie.

Jak się później przekonałem, kierownik PDK nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, jak to rzeczywiście opornie idzie.

STRACONE MILIONY

Decyzję o przebudowie tarnobrzęskiego PDK podjęto przed kilku laty. W roku 1959 zlecono rzeszowskiemu Miastoprojektowi opracowanie dokumentacji. Dokumentacja nie jest gotowa do dziś.

Samo opracowanie projektu wstępnie, „tylko” czterokrotnie poprawianego — trwało 16 miesięcy. Później zaczęły się kłopoty z dokumentacją sceny. Miastoprojekt zlecił ją specjalistycznemu biurowi w Warszawie, ale postulowane terminy nie odpowiadały zleceniodawcy, który przedłużył je na rok przyszły.

Próbowałem szukać winnych, ale nie udało się to na nic. W Tarnobrzegu twierdzą, że zaważył Miastoprojekt, w Miastoprojekcie, że Tarnobrzeg, ale wydaje się, że po trosze winne są obie strony. Nie bez winy jest także Wydział Kultury Prez. WRN, który miał finansować i nadzorować całą imprezę.

Ważne jest, że prace przy PDK, które miały być prowadzone już w roku bieżącym nie rozpoczyna się, że 2 miliony złotych przeznaczonych na nie w roku bieżącym zostały zablokowane przez bank.

— Gorzej — w braku dokumentacji cała ta inwestycja stoi pod znakiem zapytania, gdyż nie będzie można wiaćczyć jej do planu gospodarczego na rok 1962.

Zapowiada się więc, że rekord przeciągania i opieszałości prowadzenia inwestycji kulturalnej w naszym województwie, którym „chłubi się” dotąd słynny sedziszowski dom kultury, zostanie pobity, a tarnobrzęskie zespoły długo jeszcze będą musiały się gnieździć w różnych zastępczych i złych pomieszczeniach.

Chodzi zresztą nie tylko o zespoły. Jak już wspomniałem sala PDK, największa w Tarnobrzegu, ma zaledwie 140 miejsc. W zasadzie więc Miasto nie ma sali widowiskowej. Zespoły objazdowe omijają więc Tarnobrzeg z daleka, a szczególnie wytrwali jego mieszkańcy, chcąc zobaczyć np. spektakl Teatru im. Wandy Siemaszkowej, czy inną imprezę muszą jeździć do odległego o 8 km Machowa lub jeszcze dalej położonej Stalowej Woli. Dom Kultury po przebudowie miał mieć właśnie dużą ponad 400 miejsc liczącą salę widowiskową.

Zarówno sprawa kina, jak i prze-

budowy PDK niejednokrotnie były przedmiotem różnych narad i konferencji. W lutym bieżącego roku szczegółowe wytyczne do niej dała przebywająca w Tarnobrzegu komisja złożona z przedstawicieli władz centralnych, wojewódzkich i miejscowych. Niestety, z a d e n w n i o s e k komisji w obu wypadkach nie został zrealizowany.

Niedawno, przy okazji szerszej dyskusji na temat wyznaczenia inwestycji na terenie Tarnobrzega sprawą rozpoczęcia budowy PDK zajmowała się Egzekutywa KW PZPR a następnie Prezydium WRN.

Problem nie jest prosty i łatwy. Wiele różnych spraw, o których tu trudno się ze względu na brak miejsca rozpisywać, składa się na jego rozwiązanie. Niemniej jednak rozwiązać go trzeba i dlatego już dziś należy podjąć niezbędne w tym celu poczynania.

Wydaje się konieczne odebranie remontu kina przedsiębiorstwu mieleckiemu, któremu brak do pracy nie tylko ludzi, ale i dobrej woli. Zgodnie z wnioskiem komisji lutowej, remontem powinno zająć się przedsiębiorstwo tarnobrzęskie i doprowadzić go najszybciej do końca.

Sprawa PDK jest o wiele bardziej skomplikowana. Nie obejdzie się tu bez pomocy stolicy. Trzeba jednak zgodnie z propozycjami zgłaszanymi na konferencji u zastępcy przewodniczącego PWRN tow. Mieczysława Kaczora, zwrócić się do wicepremiera Juliana Tokarskiego, o zezwolenie na rozpoczęcie prac budowlanych, a z drugiej strony, jak najszybciej ukończyć dokumentację sceny. Oczywiście wchodzi tu w grę także niełatwa sprawa wyasygnowania funduszy na przebudowę.

Czas na to, wszystko jest ostateczny, gdyż do końca roku niedaleko, a niewprowadzenie PDK do planu na rok 1962 będzie dla Tarnobrzega wprost katastrofą. Chcę wierzyć, że sedziszowski rekord budowy domu kultury, trwający 8 lat, nie będzie u nas już nigdy pobity.

W. S.

DO REDAKCJI „WIDNOKRĘGU”

W nr 4 „Widnokregu” w wyborze myśli Wsiewołoda Meyerholda na skutek przedstawienia wierszy został zniekształcony sens wypowiedzi reżysera radzieckiego. Piąta z kolei myśl powinna mieć kształt następujący:

„Brak w roli aktora improwizacji świadczy, że zatrzymał się on w rozwoju”.

Z góry dziękuję za sprostowanie omyłki i łączę wyrazy poważania

JERZY PLEŚNIAROWICZ



MICHAŁ KOPEĆ — ULICA

Przechodziłem niedawno ulicą Jagiellońską i obok lokalu, w którym przedtem mieściła się kawiarnia „Adria” spostrzegłem grupę młodzieży żywo rozprawiającą i rozżaloną. Paru młodych próbowało nawet prowadzić konwersację z kierownikiem lokalu przez uchylone drzwi, uprosić go, by ich wpuścił do środka, ale ten rozkładał bezradnie ręce, wskazywał na tło na sali, żądał karty wstępu.

Trzeba bowiem wiedzieć, że dawna „Adria” przeobraziła się ostatnio w ZMS-owski klub pod elektryzującą nazwą „ISKRA”. Na razie kilka razy w tygodniu wieczorem gra tutaj orkiestra, lub próbują się młodzi artyści-amatorzy. Z biegiem czasu, tak skryształizuje się program pracy klubu, młodzież żąda rozrywek czekających różnorodnie atrakcyjne. Będą też wygłaszane pogadanki na interesujące tematy.

Do klubu przychodzi młodzież różna, szczególnie teraz, kiedy nie wpuszcza się jeszcze ściśle według kart wstępu. A więc zjawiają się tutaj pracujący i niepracujący, uczniowie, robotnicy i studenci. Wiek 16 do 21 lat, a więc pokolenie, które starsi nazywają „trudnym”.

Dla nich są to jednak najpiękniejsze lata. Lata beztrudni, ustępującej miejsca samodzielnemu myś-

oczywiście. Sposób bycia kolegów nie zawsze mi odpowiada. Poglądy ich i moje są raczej zgodne. Rodzice są za wyczał barzo konserwatywni i często nas nie rozumieją. Czyżby nie przeżyli młodości? My dziewczęta odnosimy się do nich z największym szacunkiem.

Chciałbym być człowiekiem, który ma zawsze jedną twarz, stwierdza inny. Właściwie to jeszcze nie wiem, jaki zawód wybiorę, bo mam kilka fachów. Mam za złe starszym, że młodych najczęściej nie rozumieją. Skutek? Młodzi uważają ich za ludzi „nie z tej ziemi”. W moim wypadku współżycie z rodzicami układa się najlepiej wówczas, jeżeli odwiedzam ich raz na miesiąc lub rzadziej. Najbardziej oburza mnie obłuda i cynizm, które często spotykamy wśród starszych.

Inny zaś pisze — chciałbym być studentem Wyższej Szkoły Muzycznej. Wybrałem, niestety, inny zawód za poradą starszych i chyba tylko dla pieniędzy. Starsi ludzie jeżeli starają się zrozumieć młodych — to tylko w pewnym stopniu.

Moi koledzy są bardzo rozsądni, zwłaszcza ci, którzy się uczą. To prawda, ich zainteresowania nie zawsze się zgadniają z moimi. Sposób bycia niektórych moich kole-

Działalność kulturalno-oświatowa wśród młodzieży — to przyjemność



ZDZISŁAW TRENTOWSKI

W ciągu lat wokół pojęcia: działacz kulturalno-oświatowy — narodziło wiele zachwytów i równocześnie uprzedzeń. Niektórzy działacze (w skróceniu zwani) k. o. — umieli zdobyć sobie stosunkowo duże uznanie, nieklamany szacunek. Jak dorozumiemy, trafiali się jednak również tacy, którzy nie potrafili dostojnie n.c. Nie posiadali zmysłu organizacyjnego, odpowiedzialnej kwalifikacji, a nawet zamierzano do wykonywanego zawodu. A trzeba powiedzieć — zawodu trudnego i niezmiernie odpowiedzialnego.

Ci ostatni przeważnie już się wykruszyli, na ogół nie ma ich w domach kultury, świetlicach, zespołach artystycznych. Poszli do sklepów sprzedawać żywność lub na pocztę pieczętować listy. Praca również potrzebna i chociaż są na swoim miejscu. Nie kręcą więcj nikomu głowy sprawami związanymi z kulturą, o której nie posiadają zielonego pojęcia. Zwolnili posady dla pracowników kulturalno-oświatowych z prawdziwego zdarzenia.

Największe zaufanie można mieć do tych osób, które działalność kulturalno-oświatową przejawiają od kilkunastu już lat. Stanowi to przekonywujący dowód, że musieli się czymś wyróżniać, potrafiły sprostać zadaniom. Przez wiele lat pracy zyskali ci ludzie sporo doświadczenia, które chroni przed robieniem niepotrzebnych i szczególnie szkodliwych w tej dziedzinie błędów.

Zasłużonych, ofiarnych działaczy kulturalno-oświatowych jest w naszym województwie mnóstwo. Procentowo jest ich może więcej, jak gdzie indziej. Dlatego dokonanie specjalnego wyboru jest rzeczą skomplikowaną. Nie sąmy się nawet ustalać jakiejś hierarchii. Po prostu, chcąc polecić w naszym piśmie sylwetkę bardziej znanego działacza kulturalno-oświatowego — zwróciliśmy się do tego, który pierwszy przyszedł nam na myśl. O wyborze tow. Zdzisława Trentowskiego w pewnym stopniu zdecydowało jeszcze to, że cały czas pracuje on z młodzieżą, której

właściwe wychowanie leży każdemu z nas przede wszystkim na sercu.

Z. Trentowski to syn nauczyciela i sam nauczyciel-polonista. Studiował w Krakowie. W szkołach zaczął pracować przed wojną — w południowo-wschodniej części Polski. Zatrudniony zostaje następnie w szkole w Jarosławiu. Po wojnie osiada w Jarosławiu.

Teatrem interesował się od dzieciństwa. Kiedy i gdzie tylko mógł siedział zawsze na przedstawieniach. Głównym kolebką dramatycznym, do którego należał — opiekował się znakomity aktor Osterwa, co m.in. musiało wywarć poważny wpływ na tow. Trentowskiego, na jego dalsze życie. Skończył on później szereg kursów dla reżyserów teatrów amatorskich i pracowników kulturalno-oświatowych. Dzisiaj może już zapisać na swoje konto pokazywany dorobek artystyczny.

Wielkie litery na dużym afiszu obwieszają wszem wobec, że już za kilka dni odbędzie się: „Wle-

niu szkoły — wówczas nie tak łatwo przychodzi im już walczyć z nami...”

Ze swoimi zespołami Z. Trentowski brał udział w festiwalach, organizowanych przez Ministerstwo Kultury i Oświaty oraz przez CRZZ. Zespoły jego występowały w Warszawie, Katowicach, Lublinie i na ziemiach Zachodnich, wyjeżdżały do Czechosłowacji. Były wielokrotnie nagazane. Z. Trentowskiemu za jego pracę zostały przyznane odznaczenia państwowe. Pełni on funkcję przewodniczącego w kolekcji w inspektoratu artystycznych przy WDK. Od kilku lat jest powoływany na kierownika różnych ogólnopolskich kursów świetlicowych — prowadził takie kursy w Krakowie, Górnym Śląsku, Szczecinie.

Jego dewiza: trzeba znać się na wszystkim — na inscenizacji i reżyserii sztuki dramatycznych, na recytacji utworów poetyckich, na montowaniu również całego programu, złożonego z występów orkiestry, chóru, zespołu wokalnego. Z. Trentowski w zależności od potrzeby jest aktorem, suflerem, a nawet inspicjentem.

Ogółem Trentowski wyreżyserował dotychczas około 50 sztuk. Jedną w teatrze szkolnym, inne w Jarosławskim Teatrze im. M. Bałuckiego, który kiedyś cieszył się powodzeniem, jeszcze inne w ramach sekcji dramatycznej MOPP. Były wśród nich takie sztuki jak „Zemsta”, „Damy i huzary”, „Mazepa”, „Krakowiacy i górale”, „Antygona”, „Mizantrop”, „Wiśniowy sad”, „Studentka miłość” — przeważnie klasyka, bez porównania mniej, niestety, utworów współczesnych.

„Praca z młodzieżą sprawia mi największą przyjemność — mówi tow. Trentowski. (Sam ma córkę i syna — przyp. red.) Lubię opracowywać montaż literacki. Pasjonuje się sztuką regionalną. W wolnych chwilach studiuję biografie wybitnych ludzi teatru. Tylko, że wolnych chwil jest bardzo mało...”

Właśnie w związku z tą uwagą na temat wolnego czasu warto polecić kilka słów. Otóż, faktycznie, cecha większości naszych działaczy kulturalno-oświatowych jest wieczny pośpiech. Nigdzie nie mogą zdążyć, wciąż są w ruchu. Naradzi, zebrania, wyjazdy. Muszą stać „obsługiwać” (użarty żargon) różne akademie, urządzić okolicznościowe imprezy. Mało się jeszcze pod tym względem zmieniło. W ostatnim wyniku człowiek przestaje pracować nad sobą, rutynuje. Nawet w wypadku bardzo twórczych pracowników kulturalno-oświatowych takie niebezpieczeństwo istnieje.

Jeśli chodzi o tow. Zdzisława Trentowskiego możemy powiedzieć, że długo, jeszcze znajdował on będzie tyle siły, pomysłu i energii, do obecnie. Pozwoli mu to wykreślić dalsze liczne zastępy młodzieży w duchu umiłowania literatury i sztuki — w prawdziwie kulturalnych obywateli.

J. MIR.



czór artystyczny”. Na samej górze afisza wymieniony jest organizator imprezy — Międzyszkolny Ośrodek Prac Pozaekcyjnych. Kierownikiem pierwszego takiego Ośrodka w Jarosławiu, początkowo jedynego w województwie rzeszowskim — był tow. Zdzisław Trentowski. Drugi rok już Z. Trentowski kieruje podobnym Ośrodkiem w Rzeszowie.

Celem wymienionych placówek jest tworzenie międzyszkolnych zespołów artystycznych, grupowanie najbardziej uzdolnionych uczniów ze szkół średnich. O roli poszczególnych sekcji MOPP (skrót ten stał się już dzisiaj dość popularny) najlepiej świadczy fakt, że skuniamy doborowo i szerokie rzesze miłośników literatury i sztuki. Chyć liczą po sto i więcej osób a zorganizowanie jednej orkiestry symfonicznej i drugiej detej również nie sprawia Ośrodkowi zbyt wielkiej trudności. Dla młodzieży szkolnej istnieje piękne pole do popisu, posiada ona dobre warunki do uszczelnionego rozwoju. Gorzej jest czasem młodym ludziom po skończe-

Stanisław Galos

Lata górne

leniu i krytycznemu widzeniu siebie i innych; lata podniebnych marzeń, radości, wielkich „zafamań” i blahych dramatów. W tym gronie — obecnych w klubie i wystających bez nadziei pod jego drzwiami — są tacy, którzy z narażeniem życia potrafiliby nieść pomoc drugiemu, oburzać się na krzywdę ludzką aż do lez. Ale wśród nich znajdują się również inni, którzy z chęcią zaimponowania rówieśnikom „odwagą”, potrafili wybić szybę wystawową bez zmużenia oka, pomalować na „picassa” kiosk czy zadrwić ze starszka.

Przed kilku dniami w klubie „Iskra” (przy pomocy organizatorów) przeprowadziłem ankietę wśród zebranych. Postawiłem 5 pytań, na które młodzi incognito mieli piśmiennie odpowiedzieć. Oto pytania: 1) Kim chciałbyś być? Dlaczego wybrałeś tę a nie inną szkołę, ten a nie inny zawód? 2) Co myślisz o swoich rówieśnikach, o ich zainteresowaniach, marzeniach, uczuciach? Czy wszystkie poglądy i sposób bycia kolegów Ci odpowiada? Co Ciebie najbardziej interesuje w życiu? 3) Co myślisz o starszych: czy starają się oni zrozumieć młodych i czy młodzi odnoszą się do nich z należyty szacunkiem? Czy dobrze układa Ci się współżycie z rodzicami? 4) Co Ci się najbardziej podoba w otaczającym Cię świecie? 5) Które z uczuć ludzkich uważasz za najpiękniejsze, a jaką przywarą najbardziej gardzisz?

A oto odpowiedzi: Z zawodu jak i sobie wybrałem jestem zadowolony. Moi rówieśnicy, w wieku około 20 lat przeważnie marzą o pieniądzach, porządnej zabawie i ładnej partnerce. Na jeden wieczór,

gów przyprowadza mnie o młodości. Lubię rówieśników o ludzkich uczuciach, ale też z twardym charakterem.

Przytoczyłem parę jak s'e wydaje charakterystycznych odpowiedzi uczestników ankiety. To prawda — nie odzwierciedlają one całokształtu myśli, uczuć, jak też atmosfery wśród dorastającej młodzieży. Problemem jest to, czy wypowiedzi są szczerze. Przecież w odpowiedziach młodych dotknięto szeregu niełatwych do rozwiązania spraw współczesnego pokolenia.

Większość uczestników ankiety dość sceptycznie wyraża się o układzie stosunku starsi — młodzież. Z czyjej winy dochodzi do nieporozumień? Oczywiście — skarżą się młodzi — winni są starsi: nie rozumieją ducha czasu. W prywatnej rozmowie powiedział mi jeden z bywalców „Iskry”, „ideałem mojej ciotki jest jej młodość, serenady odprawiane pod oknami wybranki. Gdybym dziś zjawił się pod oknem ukochanej z mandoliną i zaczął kwilić jakieś tęskne melodie, zamknęto by mnie chyba w domu wariatów. Inne czasy, inne zwyczaje”. Z drugiej jednak strony — podkreślano to również — dorastająca młodzież nie zawsze pragnie zrozumieć starszych. Nie odnosi się do nich z należyty szacunkiem. Lekceważy ich doświadczenie. Gdzie tkwi sedno? W życiu chyba obie strony stawiają nie zawsze rozsądne kroki.

Starsi — wiadomo — mierzyc chcieli by postawie młodych schematem swojej młodości. A tego się nie da robić wobec pokolenia, które za wszelką cenę pragnie być nowoczesne i od najwcześniejszych lat samodzielne.

wane są także kafle produkcji ludowej, które nie różnią się od nich kształtem i rozmiarami. Niestety grupa tych ostatnich jest niewielka, ciekawa jest ich dekoracja. Obok motywów roślinnych przedstawiono

tu sceny figuralne nawiązujące do wypadków historycznych walk prowadzonych przez cesarza Maksymiliana w Meksyku.

Dużą atrakcją wystawy jest stoisko, w którym w określonych godzinach pracuje jarosławski garniec F. Andryś de monstrujący zwiędającym pracującym kole garnieccy. Stoisko to jako element ruchu sztucznie przeciwdziałając „muzealnemu” nadając wstawie żywy charakter.

Nieco stary, muzealny ton oprawy plastycznej całej ekspozycji równowagę wysoka wartość eksponatów. Dodatkną stroną wystawy jest także ładnie wydany przez Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie katalog za-



Kafel herbowy z XV w. — ze zbiorów Muzeum w Przeworsku. Fot. J. Fischer

wierający szkic monograficzny o kaflarstwie i spis eksponatów. Wystawę „Zabytkowe kafle województwa rzeszowskiego” na pewno warto zobaczyć.



Kafel „gdański” z XVIII w. — ze zbiorów Muzeum w Jarosławiu. Fot. J. Fischer

KAFLE MOWIA O PRZESZŁOŚCI

DANUTA RODECKA

W Muzeum w Jarosławiu ekspozowana jest obecnie ciekawa wystawa retrospektywna pt. „Zabytkowe kafle województwa rzeszowskiego”. Organizatorzy wystawy — Wydział Kultury PWRN w Rzeszowie i Muzeum w Jarosławiu mieli na celu pokazanie rozwoju form kafli i spopularyzowanie w społeczeństwie tego typu zabytków, co przyczyniłoby się do ochrony starych kafil, odkrywanych często na różnych wykopach ziemnych i nieświadomie niszczonej.

Scenarzystą i komisarzem wystawy była mgr Janina Olszewska. Ekspozycje pochodzą m. in. z takich miejscowości jak: Biecz, Husów, Jarosław, Kraszczyn, Leńsk, Łanów, Przemysł, Przeworsk, Rzeszów i Sarnok. Zgrupowane razem stanowią kolekcję, którą rzadko można oglądać. Spośród nich szczególnie ciekawą uwagę bogato na wystawie reprezentowane najstarsze kafle tzw.

garnkowe z XV wieku, gdy kafel bez polewy na płycie piecowej był wydłużonym tworem terrakotowym, którego brzusiec służący do umocowania w piecu posiadał ok. 22 cm długości. Stan zachowania tych eksponatów jest zadowalający. Natomiast pokazane na wystawie kafle z nowszych epok stylowych są gorzej zachowane. Niejednokrotnie są to tylko fragmenty kafil z wycinkami motywów zdobniczych. Ale i takie fragmenty jako zabytki mają dużą wartość naukową i historyczną. Mówią nam o przeszłości językiem pięknych ornamentów. Zawsze bowiem do zdobienia kafil służyły motywy dekoracyjne z przyjętej przez epokę ornamentyki. Stąd wiedzialcy mogą dużo dowiedzieć się o kulturze minionych epok. Wśród eksponowanych kafil są tzw. portretowa herbowa i królewska, z motywami zwierzęcymi.

Obok kafil stylowych ekspozyc-

na wprost Cenzurka dla widowni

Jak to dobrze, że w szarzyźnie naszej codzienności zdarzają się czasem przygody, wybuchają spory a elita towarzysko intelektualna przeżywa ostry szok. Takie podniecenie zauważyłem ostatnio w Rzeszowie dzięki ostatniej premierce Teatru im. Wandy Siemaszkowej. Na spektaklu arcyzabawnej „melofarsy” Sławomira Mrożka dużo dodatkowej radości dała mi obserwacja reakcji premierowej publiczności. Część widzów wpatrywała się w scenę z minami obrażonych i pełnymi odrazami. Inni nudził się na potęgę, parę osób serdecznie się bawiło, a parę przeżywało intelektualnie. Reszta widzów zupełnie zdezorientowana, nie wiedziała właściwie jak się zachować. Czasem ktoś z tej grupy parsknął śmiechem lecz zaraz oglądał się na sąsiadów jak to przyjmują.

Ktoś tam utracił się do rozmowy zalecając golonkę i ćwiartkę czyszej, bo kto by tam jadł drób, ale go pouczono, że mówi się o teatrze.

Po długich dyskusjach w kawiarniach zwykle wszyscy wdychali. Trzeba by już iść. Tyle jeszcze mam pracy. Ale tak mi się jakoś nie chce. I to było perfidne zwycięstwo „Indyka”.

Kończąc cenzurkę dla wielu widzów stopniem — minus dostatecznie z poczucia humoru.

Jotgiel

„Widnokrąg” odpowiada

OB. K. K. ROPCZYCE (TRR): Jeśli przynajmniej, że najbliższym punktem waszej wiedzy jest pisownia, to czemu chcecie pisać i to właśnie wiersze. Ostrzegam, nie pokażcie przypadkiem wiersza „Czerwoni bohaterowie” profesorowi polonistice. Aż czarno w nim od zasadniczych błędów ortograficznych. Treść wiersza nie budzi żadnych wątpliwości. Jest absolutnie niedorzeczna.

Ob. J. P. TARNÓW. To pomyłka. Utwory, które nazywacie fraszkami nie zawierają w sobie ani dowcipu, ani odkrywczej myśli. To najbanalnieszce z możliwych truzimy, ułożone niezdarne „do wiersza”. Ta droga nigdzie nie prowadzi.

„SOKÓŁ”. Nie skorzystamy. W waszych wierszach brak jakiegokolwiek dyscypliny w obrazowaniu oraz harmonii w odcieniach emocjonalnych. Groteska, patos i sentimentalizm w jednym wierszu mogą wprawdzie współistnieć, ale trzeba umieć je powiązać. U Was tej umiejętności nie widać.

Ob. S. K. STAŁOWA WOLA. Wiersze, które otrzymaliśmy niedobrze świadczą o Waszych możliwościach literackich. Ich słownictwo i składnia przypominają styl administracyjny, styl zarządzeń, okólników i podań. Nie skorzystamy.

Ob. Sz. K. SANOK. Poemat długi, kosztował Was na pewno wiele pracy, niestety niedobry. Żywo przypomina pseudoklasykcyjne rymy Koźmiana czy Felińskiego. A przecież od tamtych czasów zmienił się język i smak artystyczny.



Rys. J. Sienkiewicz

Listy o trudnym dojrzwaniu

Na półkach księgarskich ukazała się druga już książka „Biblioteczki Wychowania Moralnego” pt. „Listy o trudnym dojrzwaniu”. Autorka tej książki Elżbieta Jackiewiczowa zebrała w niej 130 listów pisanych przez młodzież (w wieku od 12 do 20 lat) do redakcji czasopism „Filipinka” i „Na przelaj”, a także do autorki osobiście w sprawach, o których nie miała odwagi mówić w rodzicach czy wychowawcami w szkole, a które ją nurtowały, niepokoiły i w wielu wypadkach powodowały tragedie osobiste.

Zamieszczone w książce listy są subiektywne, przepełnione żalem i goryczą, bardzo często pisane pod wrażeniem doznanej przykrości czy krzywdy. Niemniej jednak ukazują czytelnikowi, ile karygodnych i nie do przebaczenia błędów popełnia starsze społeczeństwo w stosunku do dorastającej młodzieży. Stanowią one oskarżenie niejednej nierozsądnej matki czy brata nego ojca, którzy stają się dla swych dzieci osobami zleniawionymi za brak zrozumienia i za często niegodziwe z nimi postępowanie.

„Wybierając listy z korespondencji redakcyjnych — pisze w przedmowie autorka — sięgałam niemal wyłącznie po te, w których mowa jest o rodzicach lub o nauczycielach. Zamierem moim bowiem było ukazanie tego, jaki jest stosunek starszych, odpowiedzialnych za wychowanie młodzieży, do kształtowanie jej uczuć, do pomaganie w rozwiązywaniu skomplikowanych problemów etycznych, do oparcie w momentach załamania i zwątpienia, do ochronienie od pomyłek i błędów, o ile to ostatnie jest przynajmniej w pewnym stopniu możliwe i celowe. Chciałam udowodnić, jak bardzo trudnym okresem życia jest młodość. Wbrew temu, co się mówi!”

Franciszek Świder

Zdarzenia tygodnia

W Ministerstwie Kultury i Sztuki odbyła się w poniedziałek, 23 bm. narada poświęcona sprawie budowy pomnika Generała Karola Świerczewskiego w Jablonce za Bałgrodem, tj. w miejscu, gdzie Generał Walter zginął. W naradzie prócz przedstawicieli ministerstwa, Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, uczestniczył również kierownik Wydziału Kultury WRN w Rzeszowie tow. Leonard Czeplik. Zebrani przyjęli projekt prof. Starynkiewicza. Do budowy pomnika przystąpi się w najbliższym czasie.

W Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie działa już Uniwersytet dla Rodziców, który skupia ponad 500 słuchaczy. Dużym zainteresowaniem cieszy się również Uniwersytet Powszechny. Wykłady odbywają się na następujących wydziałach: filozofii i wiedzy o życiu, pracy kulturalno-oświatowej i języków obcych.

Wykładowcami są profesorowie uniwersytetów z Krakowa, Warszawy i Lublina.

Ożywioną działalność zaczyna rozwijać rzeszowski Klub Młodzieży ZMS „Iskra”, mieszczący się w dawnej kawiarni „Adria”. Tylko w kilku ostatnich dniach w klubie odbyły się imprezy: wieczór karykatury i iluzji, z udziałem Andrzeja Listwana i Aleksandra Małyka, odczyt mgr inż. Stanisława Szydłki pt. „Co każdy wiecie powinien o telewizji” oraz wieczór recytacji aktora Państw. Teatru im. W. Siemaszkowej, Tadeusza Czarnowskiego pt. „Strofy o braterstwie”. Wszystkie te imprezy miały 100-procentową frekwencję.

W woj. rzeszowskim bawił ostatnio minister oświaty Waław Tułodziecki, który wziął udział w wojewódzkiej naradzie, poświęconej aktualnej problematyce oświatowej, wynikającej z uchwały VII Plenum KC PZPR. Minister Tułodziecki spotkał się także z aktywem oświatowym Rzeszowa oraz odwiedził kilka szkół w województwie rzeszowskim.

Studio operowe Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie przygotowuje operę B. Smetany „Sprzedana narzeczona”. Zakończono już próby muzyczne, które prowadził prof. Kazimierz Fic i zespół przystąpił do prób sytuacyjnych. W rolach głównych wystąpią: Helena Moroń, Zbigniew Osucnowski, Stanisław Krata i Jan Iżela. Premiery odbędą się w lutym 1962 r.

W Wojewódzkiej Poradni Kulturalno-Oświatowej WDK w Rzeszowie rozpoczęło się wczoraj trzydniowe seminarium poświęcone zagadnieniom kultury żywego słowa. Tematem jest dobór repertuaru dla recytatorów i teatrów poezji oraz problem dramaturgii i inscenizacji. Seminarium prowadzi profesor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej z Łodzi — Michał Orlicz. Biorą w nim udział nauczyciele szkół podstawowych województwa rzeszowskiego.



Na dworze śnieg sięgał wyżej okna. Słońce wpadało przez okno i oświetlało mapę wiszącą na sosnowych deskach ściany chaty. Słońce było wysoko i światło wpadało do środka ponad wierzchem śniegu. Od strony wejścia przekopano wzdłuż chaty rów i każdego pogodnego dnia ciepło słońca promieniowało od ściany na śnieg i poszerzało rów. Był koniec marca. Major siedział przy stole pod ścianą. Przy drugim stole siedział jego adiutant. Major miał wokoło oczu dwa białe kregi od ciemnych okularów, które chroniły jego twarz przed odbłaskiem słońca od śniegu. Reszta twarzy najpierw się przypiekła, potem opaliła, a potem zno-

wu przypiekła przez opalenie. Nos miał spuchnięty a skórę złuszczoną w miejscach, gdzie były pęcherze. Pracując nad papierami maczał palce lewej ręki w spodku z oliwą, po czym rozprowadzał oliwę po twarzy dotykając jej bardzo ostrożnie czubkami palców. Starannie otarł palce o krawędź spodka, tak że pozostała na rękach tylko warstewka oliwy, i poklepał sobie czoło i policzki delikatnie poklepał palcami nos. Kiedy skończył, wstał, wziął spodek z oliwą i poszedł do malej izby, w której spał. — Zdrzemne się trochę — powiedział do adiutanta. W tej armii adiutant nie ma stopnia oficerskiego. — Pan już to skończy.

— Tak jest, signor maggiore — odpowiedział adiutant. Odchylił się w krześle i ziewnął. Wyjął z kieszeni munduru książkę w papierowej oprawie i otworzył ją; następnie rozłożył książkę na stole i zapalił fajkę. Pochylił się nad stołem, aby poczytać i pyknął z fajki. Następnie zamknął książkę i schował ją na powrót do kieszeni. Miał za dużo papierkowej roboty do załatwienia. Nie mógł się rozkoszować lekturą, dopóki tego nie skończył. Na dworze słońce schowało się za górę i jego światło przestało padać na ściankę chaty. Wszedł żołnierz i włożył do pieca kilka sosnowych gałęzi porabanych na kawałki niejednakowej długości.

— Tylko cicho, Pinin — powiedział mu adiutant. — Pan major śpi.

Pinin był ordynansem majora, smagłym, młodym chłopcem. Powkladał starannie drzewo do pieca, zamknął drzwiczki i wrócił na tyły chaty. Adiutant dalej pracował nad papierami.

— Tonani — zawołał major.
— Signor maggiore?
— Proszę mi tu przysłać Pinna.

— Pinin! — zawołał adiutant. Pinin wszedł do izby. — Pan major was potrzebuje.

Pinin przeszedł przez główną izbę chaty ku drzwiom majora. Zapukał w uchylone drzwi.

— Signor maggiore?

wą odzieża, żeby sobie zrobić poduszkę. Jego pociągła, opalona, pokryta oliwą twarz obróciła się do Pinina. Ręce leżały na kocu.

— Wy macie dziewiętnaście lat? — zapytał.

— Tak jest, signor maggiore.

— Byliście kiedy zakochani?

— Jak to, signor maggiore?

— No, zakochani... W dziewczynnie.

— Bywałem z dziewczynami.

— Nie o to pytam. Pytam, czy byliście zakochani... w dziewczynie.

— Tak jest, signor maggiore.

— I kochacie się teraz w tej dziewczynie? Nie pisujecie do niej. Czytam wszystkie wasze listy.

— Kocham się w niej — powiedział Pinin — ale do niej nie pisuję.

— Jesteście tego pewni?

— Jestem pewny.

— Tonani — powiedział major tym samym tonem — czy pan mnie słyszy, jak mówię?
Z drugiego pokoju nie było odpowiedzi.

Major urwał. Pinin patrzył w podłogę. — Naprawdę waszym wielkim pragnieniem nie jest... — Pinin patrzył w podłogę. Major oparł głowę na plecak i uśmiechnął się. Poczł prawdziwą ulgę; życie w wojsku było znowu skomplikowane. — Dobry z was chłopak — powiedział. — Dobry z was chłopak, Pinin. Ale nie bądźcie tacy wynieśli i uważajcie, żeby nie przyszedł ktoś inny i nie wziął was.

Pinin stał bez ruchu przy pryczy.

— Nie bójcie się — rzekł major. Ręce miał splecione na kocu. — Ja was nie tknę. Możecie wrócić do swojego plutonu, jeżeli chcecie. Ale lepiej, żebyście zostali u mnie na służbie. Macie więcej szans, że nie zginiacie.

— Czy pan chce czegoś ode mnie, signor maggiore?

— Nie odrzekał major. — Idźcie i róbcie dalej to, co robiliście. A wychodząc zostawcie drzwi otwarte.

Pinin wyszedł zostawiając otwarte drzwi. Adiutant popatrzał na niego, kiedy przechodził niezgrabnie przez izbę i zniknął za drzwiami. Pinin był zadowolony i ruszył się inaczej niż wtedy, kiedy przyznosił drzewo na opał. Adiutant popatrzał za nim i uśmiechnął się. Pinin wrócił niosąc jeszcze trochę drzewa do pieca. Major leżąc na pryczy i spoglądając na swój hełm w pokrowcu i okulary ochronne, wiszące na wbitym w ścianę gwoździu, słyszał jak stapał po podłodze. „A to mała szelma — pomślał. — Ciekawy jestem, czy mi skłamał”.

Przełożył: Bronisław Zieliński